



## ZOFIA JACKOWSKA

18 października 1945 r. w Warszawie sędzia śledczy Mikołaj Halfter przesłuchiwał niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o znaczeniu przysięgi, sędzia odebrał przysięgę, po czym świadek zeznała, co następuje:

---

|                      |   |
|----------------------|---|
| Imię i nazwisko      | Zofia Jackowska                           |
| Wiek                 | 35 lat                                    |
| Imiona rodziców      | Józef i Anna                              |
| Miejsce zamieszkania | Warszawa, ul. Litewska 4 m. 29            |
| Zajęcie              | przy mężu, pracowniku Tramwajów Miejskich |
| Wyznanie             | rzymskokatolickie                         |
| Karalność            | niekarana                                 |

---

1 sierpnia 1944 roku wyszłam wraz z mężem Marianem z naszego mieszkania przy ul. Litewskiej na Rakowiecką, gdzie mieliśmy działkę. Była 16.45, gdy znaleźliśmy się na Puławskiej naprzeciwko koszar lotniczych. Rozległy się pierwsze strzały. Zebraliśmy się wówczas w zajezdni tramwajów, mieszczącej się przy ul. Puławskiej 13/15. Tam pozostaliśmy do 12.00 dnia 2 sierpnia, kiedy to do zajezdni dostali się Niemcy i wyprowadzili nas wraz z innymi ukrywającymi się tam przed strzelaniną do koszar lotniczych położonych przy zbiegu ul. Puławskiej i Rakowieckiej. Tam początkowo przebywaliśmy w kancelarii dowództwa pułku lotniczego, wszyscy w jednej sali. Było nas około 70 osób, mężczyzn i kobiet, zabranych z zajezdni mokotowskiej. Tego dnia około godziny 21.00 wyprowadzili nas wszystkich z tej kancelarii, oddzielili mężczyzn od kobiet i odprowadzili do gmachu (na terenie tych koszar), który był używany jako więzienie wojskowe. Tam zostałam umieszczona w celi wraz z pięcioma

dorośliymi kobietami i jedną dziewczynką w wieku pięciu lat. Dali nam jeść: czarną kawę, chleb z marmoladą. Przenocowaliśmy w tej celi, a następnego dnia rano, ponieważ mała dziewczynka, która była z nami, zaczęła płakać, narzekając, że jej duszno i dlatego, że bała się, bo naokoło bardzo strzelali, strażnik otworzył drzwi z naszej celi na korytarz i pozwolił nam komunikować się z innymi kobietami, przebywającymi w celach sąsiednich.

Z gmachu tego wyprowadzono nas, kobiety pod eskortą żołnierzy w al. Szucha do gestapo. Tam wprowadzono nas na podwórko, na którym znajdowało się dużo Ukraińców i gestapowców. Zaczęli oni bić nas (na podwórku były tylko zaaresztowane kobiety), rękojęściami rewolwerów oraz kopać nogami, krzyczeli przy tym: „buntowniczkis, gdzie wasi mężowie”. Na podwórku pozostawałyśmy około pół godziny, poczym wprowadzono nas do budynku, umieszczając na klatce schodowej przed kratą. Zauważyłam, że po drugiej stronie kraty na korytarzu sutereny stoi przy ścianie mój mąż, twarzą do ściany, opierając się dłońmi o ścianę. Zauważyłam, że coś spływa z niego i, będąc bardzo zdenerwowaną, przypuszczając, że to krew – zemdlałam. Ocucono mnie, lecz gdy spojrzałam na ten korytarz, w którym widziałam przed chwilą męża, i gdy dostrzegłam, że stoi tam stół, a na stole kańczug, znowu straciłam przytomność. Nie pamiętam, w jaki sposób znalazłam się na tym korytarzu po drugiej stronie kraty, w tym samym miejscu, w którym poprzednio stał mój mąż. Jego już wtedy nie było. Gdy spojrzałam na ścianę i zobaczyłam odciski rąk męża, zemdlałam znowu.

Gdy oprzytomniałam, zaczęto mnie przesłuchiwać. Tłumacz przekładał moje odpowiedzi i zapytania mi stawiane. Wypytywano mnie, czym zajmuję się, gdzie pracuje mój mąż, gdzie mieszkamy. Wyjaśniłam, że szliśmy na działkę po kartofle i pokazałam koszyki, które miałam przy sobie, zaznaczyłam, że mąż pracuje w zakładach komunikacyjnych, a na zapytanie, dlaczego mieszkam przy Litewskiej (z której już uprzednio wszystkich Polaków wysiedlono), wyjaśniłam, że jestem krawcową i że szyłam prywatnie dla gospodyni kasyna gestapowców – Marty Basińskiej i dla jej szefa Waldemara Sterka (podobno Czecha, o nazwisku jego dowiedziałam się dopiero później). Po przesłuchaniu zabrali mi dowód osobisty i wprowadzili mnie do celi, w której jak zauważyłam znajdował się również i mój mąż. Zaznaczam, że cela ta była bez okna, drzwi nie miała, była oddzielona od korytarza kratą. Oświetlona była tylko przez światło, które padało z korytarza.

(W tym miejscu sędzia okazał świadkowi fotografię celi, tak zwanego tramwaju, w gestapo, poczym świadek oświadczyła). Właśnie do takiej celi zostałam wprowadzona. Posadzono mnie

na takiej ławce, jak są widoczne na tej fotografii, plecami do wyjścia. Ławki te stały w dwóch rzędach. W jednym z rzędów było wolne miejsce, usiadłam tam, zobaczyłam, że bezpośrednio przede mną siedzi mój mąż. W tejże celi na jednej z ławek zauważyłam tę samą pięcioletnią dziewczynkę, która przebywała razem ze mną w koszarach lotników. Zauważyłam, że ściana celi obok mnie była zbryzgana krwią. Widziałam na niej napisy i podpisy. Po upływie około pół godziny wszedł do celi ten tłumacz, który tłumaczył moje zeznania i wywołał nazwisko mego męża. Gdy mąż się podniósł z krzesła, tłumacz zapytał, gdzie mąż się urodził i gdzie pracuje. Po udzieleniu przez męża odpowiedzi, tłumacz okazał mu fotografię i zapytał, kogo ona przedstawia. Mąż powiedział, że jest to fotografia żony. Tłumacz oznajmił wtedy, że będziemy zwolnieni i że wezmą nas do pracy. W tym czasie wszedł do celi gestapowiec, który powiedział, że dlatego nas zwolnią, że szłam dla Marty Basińskiej i dla jej szefa Sterka. Mówił on po polsku, nazwisko Sterk powtórzył dwa razy, widocznie w tym celu, abym zapamiętała je sobie (przedtem bowiem nazwiska tego nie znałam). Później dowiedziałam się, że nazywa się Freilich z Bytomia. Następnie tłumacz zapytał męża, co mu zabrano i część rzeczy, między innymi zegarek, zwrócił. Następnie przeprowadzono mnie i męża do innej celi, w której nikogo oprócz nas nie było, stało w niej łóżko z siennikiem, stół i krzesło. Przyniesiono nam dwa koce, jeden przyniósł nam tłumacz, drugi zaś Freilich. Więzień, Kozak – Ukraińiec przyniósł nam czarnej kawy i po kawałku chleba. Po dwóch godzinach przyszedł do celi ten sam tłumacz (nazwiska jego nie pamiętam) i powiadomił nas, że za chwilę przyjdzie komendant Sterk. Za kilka minut istotnie weszło do celi kilku gestapowców, którzy zapytali nas, czy jesteśmy zdolni i czy chcemy pracować. Odpowiedzieliśmy twierdząco. Gdy wskazałam, że mąż mój niema ubrania suchego, bo uprzednio był trzymany trzy i pół godziny na deszczu, to Sterk posłał ze mną żołnierza do naszego mieszkania na Litewską. Przyniosłam ubranie, mąż się przebrał i odprowadzono nas do domu nr 16 w al. Szucha, gdzie mieściła się główna prowiantura gestapo. Tam umieszczono nas w piwnicy, gdzie razem z nami było 11 Polaków i Polek.

Gdy wychodziliśmy ze swej celi, słyszałam w sąsiedniej separatce głos tej pięcioletniej dziewczynki, o której poprzednio wspomniałam. Zorientowałam się wtedy, że ona nie będzie rozstrzelana, bo do separatki wprowadzano – jak dowiedziałam się później – tylko tych, którzy mieli pozostać przy życiu.

W domu nr 16 w al. Szucha pozostałam z mężem do 1 września. Przez ten czas dawano nam różne roboty. 1 września 1944 roku wywieziono nas sześcioro Polaków do Kompiny w ziemi łowickiej, gdzie pracowaliśmy w ośrodku dla gestapowców.

W czasie mego pobytu w domu nr 16 w al. Szucha 4 sierpnia polecono mi sprzątać kasyno oficerskie gestapowców mieszczące się w domu nr 14 lub 12 w al. Szucha. Gdy sprzątałam, to w pewnym momencie przyszła kelnerka Maria z Poznania (nazwiska jej nie pamiętam), którą poznałam za pośrednictwem Marty Basińskiej na dwa tygodnie przed powstaniem, i która była także moją klientką. Pokazała mi ona przez okno ludzi (było ich ze 300, byli w różnym wieku, starcy, mali chłopcy, szli też widocznie ślepcy, bo mieli białe laski, widziałam także sparaliżowanego, bo jechał na wózku), których prowadzili od strony gestapo w gruzy domu położonego między domem, w którym byłam, a ul. Bagatela. Kelnerka ta zaczęła płakać, mówiąc, że również jej bracia są zaaresztowani i że pewno ich także rozstrzelają. Zaprowadziła mnie do pokoju, którego okna wychodziły w kierunku ulicy Bagatela i z tego okna obserwowałyśmy przebieg wypadków. Widziałam, że ludzi zatrzymanych wprowadzano grupkami w te gruzy, że ludzie ci szybko się rozbierają (znajdowali się oni w odległości około 60 – 80 metrów ode mnie, było to w dzień, między godziną 11.00 a 13.00, widziałam wszystko dobrze), ustawiono ich następnie szeregami i strzelano do nich widocznie z karabinów maszynowych, bo także odgłosy strzałów słyszałam; strzały były seryjne. Widziałam, że – po tym jak rozległy się takie strzały – ci ludzie ustawieni w szeregach nadzy, padają. Widziałam także, że na uboczu stali inni ludzie z noszami (później dowiedziałam się, że byli to więźniowie Polacy, przebywający w areszcie przy ul. Litewskiej 14; rozmawiałam później z nimi), którzy po rozstrzelaniu takiej grupy znosili zabitych w jedno miejsce, układając w zburzonym domu na stos. Po rozstrzelaniu tej całej grupy 300 osób, stos ciał – widziałam to – został czymś oblany i podpalony.

Tego dnia od rana do 13.00 i od 14.30 do 18.00 pracowałam w kasynie. Widziałam, że w gruzy te prowadzili i tam rozstrzelali z sześć takich partii. Przypuszczam, że tego dnia rozstrzelano tam ze 2 tys. ludzi. Byli to tylko mężczyźni. Następnego dnia znowu pracowałam w tym kasynie i znowu widziałam, że w te same gruzy wprowadzają zaaresztowanych z gestapo. Takich partii rozstrzelano wtedy trzy – cztery. Ogółem rozstrzelano wtedy może ze 400 osób, znowu byli to wyłącznie mężczyźni, także w różnym wieku. Tak samo, jak poprzedniego dnia, rozstrzelanych palono.

Mniej więcej po tygodniu ja i mąż zostaliśmy przydzieleni do rozwożenia produktów dla gestapowców, było to w sklepie domu nr 16 w al. Szucha. Tam po chleb i cukier przyszli więźniowie Polacy z Litewskiej, i powiedzieli nam wtedy, że odebrano im dokumenty, że ich nie karmią, że są stale głodni, nie wiedzą, co z nimi będzie i że muszą być obecni przy

rozstrzeliwaniu i palić trupy. Oni właśnie mówili mi, że [Niemcy] rozstrzeliwują, oddając strzały w tył głowy. Mówili nam, że rozstrzeliwują w tych gruzach także i kobiety, w ten sam sposób.

Nadmieniam, że gdy 1 września wywożono nas do Kompiny, to widziałam, jak w te gruzy prowadzono sześć osób: trzech mężczyzn i trzy kobiety. Przypuszczam, że i ci zostali tam rozstrzelani.

1 września opowiadała mi jedna z tych, co pracowały razem ze mną w domu nr 16 w al. Szucha, że słyszała od gestapowców (ona znała język niemiecki, więc mogła z nimi porozumieć się), że wszyscy z Litewskiej 14 zostali 1 września rozstrzelani w tych samych gruzach. Jak słyszałam, w tym więzieniu (Litewska 14) siedziało około stu Polaków.

1 września pozostał w al. Szucha tylko jeden pluton gestapowców, reszta wyjechała z Warszawy do Łowicza, Sochaczewa, Kompiny, Skierniewic, Żyrardowa, Błonia itp.

Zaznaczam, że w Kompinie razem z nami przebywało dwóch więźniów z Litewskiej 14. Nazwisk ich nie znam. Byli to murarze. Z nimi nie rozmawialiśmy, bo baliśmy się, nie wiedząc, czy nie doniosą o nas Niemcom.

19 lub 20 sierpnia, kiedy pracowaliśmy przy roznoszeniu produktów, około godziny 12.00 – 13.00 sprowadzono w Aleje Ujazdowskie bardzo dużo ludzi. Wypełnili oni całą ulicę. Było ich może 5 tys. Rozmawiałam z nimi, mówili, że są z Czerniakowa. Byli tam mężczyźni w różnym wieku, dzieci, starcy, kobiety. Widziałam następnie, że mężczyznom kazali wejść na podwórko gestapo, kobiety z dziećmi prowadzono w kierunku Puławskiej.

Co się stało z tymi mężczyznami, nie wiem.

Słyszałam od Polaków, pracujących razem ze mną, że w gruzach domu nr 12 lub 14 w al. Szucha rozstrzeliwano codziennie. Zresztą sama przez cały sierpień codziennie widziałam w tych gruzach płomień i dym. Nie miałam żadnej wątpliwości, że odbywa się tam palenie trupów. Dym był taki, jak bywa od palenia kości i ciał. Nie było wprost czym oddychać.

Nie umiem określić nawet w przybliżeniu, ilu ludzi mogli Niemcy zamordować w gruzach domu 12/14 w al. Szucha.

Więcej nic sobie nie przypominam.

Odczytano.